№ 35.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 2. Września.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 4, na ćwierć roku talarów 2, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

ROZWIEDZIONA.

Powieść.

(Dokończenie.)

Antonina upojona szczęściem, jakiego doznawała w pierwszych chwilach oświadczenia się Władysława, pytała siebie nieraz z trwogą, coby się z nią stało, gdyby on umarł. Wtenczas mówiło jéj wewnętrzne przekonanie, że umrzeć powinna nagle i równocześnie z Władysławem. Lubiła sobie wystawiać swoją i jego duszę, jako powiązane niewidzialnemi nićmi, z których skoro jedna pęknie, druga pęknąć też powinna. Ten obraz odmalowany z wiarą dziecięcia, te sny wyobraźni, istotnie teraz się ziściły. Siedziała przy kanapie, na któréj złożono Władysława bezprzytomnego, ugodzonego śmiertelnie, trzymała zimną jego rękę w swéj dłoni rozpalonéj, któréj tętno napróżno siliło się ogrzać ją swém życiem; wyczytała w twarzy lekarza przybyłego, że Władysław jest dla niéj stracony.... ale słabość i bezprzytomność jéj niepowiększyła się, owszém zupełnie znikła. Ciało i dusza jéj nabrały całéj swéj mocy. Dawniejsza odrętwiałość, chorobliwe wzruszenie, zamieniły się teraz w odwagę, namysł, energią. Omdlenie jéj zaledwo kilka minut trwało. Skoro się tylko przebudziła, uczuła się wolną od wszystkich uciążliwości, które ją tak bezwiestnie tłoczyły. Około jéj ducha wszystko zajaśniało, załysło; ciemne osłony opadły, w których wprzód cała bystrość jéj uwikłała się i zagrzęzła. Stanęła że tak powiem, na owéj wyżynie jasnowiestności, przed którą ostać się niemoże żadna ułuda, żadna ponęta namiętności, żaden błąd uczucia. Słabym wprawdzie, ale pewnym głosem wydawała potrzebne rozkazy. Służący rozbiegli się szukać najpierwszych lekarzy stolicy. Przytomny lekarz oświadczył, iż rzeczą jest niebezpieczną przenosić rannego na inne miejsce. Zostawiono więc w miejscu, gdzie go przypadkiem złożono. Po chwili przybył najsławniejszy lekarz miasta, sprowadzony przez nieznajomą osobę, która się Antoninie jako przyjaciel Władysława i jako świadek nieszczęsnego pojedynku przedstawiła. Byłto Bystrzanowski. Zadziwił się nad spokojnością Antoniny, która ją w téj chwili odznaczała, i oświadczył jéj żal głęboki, iż tak nagle i bez przygotowania dowiedziała się o tym wypadku. Antonina prosiła go takim głosem o opowiedzenie jéj całego zdarzenia, iż niemógł się na żaden sposób od tego wymówić. O przyczynę pojedynku nieśmiała się pytać. Bystrzanowski zaczął więc od zdarzenia na wieczorze, gdzie Władysław Siwickiego obraził, daléj opowiedział, ile pracował nad pogodzeniem obudwu tak na miejscu pojedynku, jakoteż dniem wprzody. Ale Władysław tak zimno przyjmował wszelkie porady przyjacielskie, i z taką nareszcie pogardą odrzucił jakąkolwiek zgodę, iż Siwickiemu niepozostało nic więcéj, jak cofnąć z swojéj strony wszelkie kroki zbliżenia się i pojednania. Ale jego kula niestety za dobrze trafiła, sam zaś lekko w ramię draśniętym został. Antonina usłyszała wymówione imie Siwickiego bez wzruszenia. Spodziewała się tego, niewiedząc przyczyny. W chwili, gdzie się przebudziła z omdlenia i przekonała, iż Władysław padł ofiarą pojedynku, zaraz ją coś tknęło, iż i ona jest przyczyną tego pojedynku, a przechodząc zdarzenia dni poprzedzających po kolei, tylko ów wieczór w towarzystwie przepędzony naznaczyć

była w stanie za chwilę nieszczęsnych następstw. Przypomniała sobie niespokojność Władysława, z jaką za nią poglądał, kiedy tańczyła z Siwickim. A więc zazdrość, jedynie zazdrość stała się powodem pojedynku, za którą ukryć chciał winę swoją, tłumacząc krzywo i naciągając gwałtownie to, co się stało tylko przypadkiem, byle ujść wyrzutom własnego sumnienia!

Straszliwa cisza panowała w pokoju. Nanowo opatrzono Władysława. Teraz z omdlenia wpadł we febrę i nieprzytomność. Lekarz widząc spokojną Antoninę, oświadczył jéj, iż słaba tylko jest nadzieja utrzymania go przy życiu, i że teraz przestrzegać należy największéj spokojności. Bystrzanowski prosił, by mu dozwolono noc przepędzić przy Władysławie. Antonina skinęła na znak przyzwolenia; dała też znak, aby się wszyscy przytomni z pokoju oddalili. Pozostała sama schylona nad obliczem Władysława, licząc słaby oddech jego, jedyny znak, że jeszcze w części do tego świata, do tego życia należy. Naokół, co za zmiana! Niebo powlokło się chmurami, powiększając ciemnię w pokoju. Biała posadzka tu i owdzie krwią skropiona. Na kanapie umierający, obok niego nieporuszająca się postać, Antonina. Ani słowa, ani jednego pytania niezwróciła ku niemu, i tak sobie myśliła:

»Któż z nas zawinił, że teraz oboje pokutujemy? Tak, w rzeczy samėj, zawiniliśmy! Ja rozerwałam węzeł święty, któren zaprzysięgłam na wieki dochować, jam śmiała Władysława pokochać. Sama snułam około siebie ułudę, myśląc znaleźć szczęście przy Władysławie. Ale zawsze on był odemnie dalekim. Ciemna, groźliwa jakaś ręka rozpychała nas i niedozwalała nigdy zlać się duszom naszym. Szczęście! Szczęście! Czyliż ono może poczynać od niesłuszności?«

W téj chwili Władysław ruszył ustami, a potém głosem suchym, chrapliwym, mając oczy ciągle zamknięte, tak począł mówić w gorączce: »Antonino, czemu tańczysz? Chódź moje dziecię, pójdziemy! Niech sobie ci ludzie hałasują. Ja ci wszystko z ochotą wypowiem. Dałem się na honor uludzić, ale tylko na chwilę. Aleksandra była zawsze piękną, chciałem jeno ją na kilka minut obaczyć. Gdybym był nieposzedł, byliby mnie wyśmiali! Jak brzydką jest teraz w moich oczach! Niemógłem zapomnić o tobie, moje słodkie dziecię! Niegniewaj się, przebacz mi. O zapewne, nieraz ja cię uraziłem przykremi słowami! Przekleństwo tobie Siwicki! — jak śmiesz mi Antoninę w téj chwili uprowadzać, kiedy mi jéj tyle potrzeba. O nędzniku! Ona jest moją, zupełnie moją!«

Głos jego ustał. Antonina wśród łez uśmiechnęła się radośnie i śród boleści zawołała mimowolnie:

»On mnie kocha, tak, on mnie szczerze kocha! Czy jest jaki występek na świecie, któremuby miłość nieprzebaczyła? Moje szczęście, moje życie padło ofiarą miłości. Poświęcam je teraz z ochotą, czyste, usprawiedliwione, niewinne. Należałam prawda do Miączyńskiego, ale zewnętrznym, nic nieznaczącym węzłem, który mogłam rozerwać, bo mi to nakazywała gorąca, wzniosła miłość. Los wyższy znaglił Władysława do oświadczenia mi swojéj miłości, temu losowi i ja i on ulegliśmy. Pocóż mamy siebie oskarzać?«

Z drzeniem pochwyciła rękę Władysława i przycisnęła ją do ust swoich. Jéj łzy gorące oblały dłoń jego. Zaledwie wstrzymać się mogła od rzucenia się mu do szyi, by u piersi jego złożyć błogie uczucie serca swego. Władysław poruszył się niespokojnie, i jak dawniéj począł poszeptywać:

»Siwicki, Mrozewiczu, gdzież jest wasza odwaga, wy przed nią swe oczy chylicie i wzdrygacie ramionami na znak zwątpienia. Pani Miączyńska jest cnotliwą, mówicie, najzimniejszą pięknością stolicy! Żaden z was nieśmie do niéj się zbliżyć? Na honor, kto się założy, ja się podejmuję jéj oziębłość, jéj pychę upokorzyć! Zacznę jéj pochlebiać śród westchnień i lekkiego smutku. Dwadzieścia butelek szampana! Kto się założy?! Stanął zakład... — Pocóż te węzły, pani, które mnie czynią nieszczęśliwym? Pocóż to imie, które mnie zabija? Pozwól pani, niech umrę u nóg twoich, kiedy obowiązki twe odpychają moją miłość. — Antonino, ty moją zostaniesz?.... Ach, jak oni się śmieją i drwią ze mnie! Za dwadzieścia wygranych butelek trzeba ożenić się. Któż mógł pomyślić, że ona tak serio pochwyci za słowa! Bagatela, sympatya, zamienia się na małżeństwo. Co mam jéj powiedzieć? Krótko a węzłowato oświadcza mi, pan Miączyński zezwala na rozwód, a ty Władysławie prowadź mnie do ołtarza! A do licha, to mi niespodzianka! Na honor, djabeł tę kobietę opętał. Otoż mnie wystrychnęła, otoż mnie złapała we własne me sidła! Co mam począć? Żegnam cię wolności i swobodo, za prozę małżeństwa!«

Te obrazy, oddające wiernie ostatnie czasy jego życia, zdawały się przytłaczać chorego, bo ciężko jęknął i konwulsyjnie zadrzał. Przestał potém mówić, otworzył oczy i pozierał naokół siebie. Przypomniał sobie kilka szczegółów z tego, co się stało, poznał Antoninę i wymówił jéj imie słabym głosem. Ona go niesłyszała. Słowa jego ogłuszyły ją i odrę-

twiły. Ani jednego nie uroniła, wszystkie wczerpała sercem. Za chwilę tryumfu, uczucia, które ją śród boleści tak błogo i rzewliwie zachwyciło i przejęło, ujrzała się teraz śród okropnéj puszczy pamiątek. Nie za miłość, ale za kaprys, za urojenia, za ohydę, naigrawanie, za kłamstwo, oddała swoje życie i szczęście, swój honor i wierność. Ostatnia kotwica pękła, u któréj duch jéj jeszcze się poczepiał. Czarna noc dla niéj zaszła. Nic niewidziała, nic niesłyszała naokół siebie. W jednéj myśli zawarła się cała jéj przytomność: że i miłość może być błędem!

Władysław wymówił jeszcze raz jéj imie. Nie odebrał żadnéj odpowiedzi. Z całéj więc siły zawołał ją po trzeci raz po imieniu. Antonina milczała, bo w owéj chwili rozpamiętywała ona dawne czasy, dawny pokój, dawne szczęście i wierność pierwszego małżeństwa. Błagała w umyśle dawnego męża o przebaczenie za występek przeciw niemu dopuszczony. W téj też chwili nie myślała o Władysławie, bo pamięć jego jako mara w powietrzu rozchwiała się w jéj duszy.

Na widok nieméj, biało ubranéj, bladéj osoby, przy dziwném oświetleniu pokoju, przeraził się umierający Władysław. Zdawało mu się, że widzi Antoninę i znów wątpił. Przestrach prawie mu dech odjął. Rozwarł powieki ile mógł, podniósł głowę nad poduszkę, a wyciągając palce ku posowie, zawołał ile sił starczyło:

»Antonino! Antonino! Gdzie jesteś! Oddal to straszydło! Ono mnie chce zabić! O moje piersi! Siwicki, ty mnie zastrzelisz, jeżeli pistolet tak nisko trzymać będziesz! Pozwól, zanim umrę, prosić Antoninę o przebaczenie.«

»Jam jéj szczęście rozerwał. Ale czym przezto został szczęśliwy? Nie, nie, byłem nędzny w utrapieniu i niedoli! Antonino, o jedno słowo proszę cię, o jedno słowo tylko, mów, powiedz, żeś to ty jesteś! Niezabijaj mnie swojém milczeniem! Niech....«

Antonina zwróciła zwolna swą twarz ku niemu i pojrzała na niego uśmiechem boleści i rozpaczy. On przeląkł się i padł nieżywy na poduszkę, niedokończywszy swéj prośby. Białą kołdrę pokrył strumień krwi jego.

*

Kilka ustępów
z najnowszéj powieści *J. Kraszewskiego*:
CAŁE ŻYCIE BIEDNA.

I.

Wśród rozległéj równiny, którą gaje brzóz i sosien zamykały w oddaleniu, wznosił się stary, wysoki dom drewniany, otoczony obszernym sadem i zabudowaniami gospodarskiemi. Do niego wiodła droga wysadzona staremi lipami, wśród których bielała kapliczka Ś. Jana Nepomucena u źródła. Dziedziniec był obszerny i przerznięty kilkakroć ścieszkami, wydeptanemi od kuchni do tak zwanego pałacu, do oficyny i stajen. Stary dom, który tak pompatycznie pałacem nazywała czeladź i chłopi, była to budowa wysoka, z wyniosłym dachem nastrzępionym kominami, z oknami wielkiemi, z gankiem wspartym na czterech drewnianych kolumnach. Z jednéj strony czyściejsze szyby w oknach, bielejące z za nich firanki i gdzie niegdzie przeglądające wazony z kwiatami, dowodziły, że to była strona pańska, pokoje od zabawy; z drugiéj mniejsze i w części potłuczone szybki, pozasłaniane bielizną rozwieszoną, tłumaczyły, że tu były izby kobiet służących i czeladzi dworskiéj. Przed domem była grzęda kwiatów pożółkłych, otoczona splecionym z gałęzi brzozowych koszem. Stara jedynaczka topola, wznosiła się jeszcze pod oknami, z jednéj strony już uschła i niedaleka losu swoich sióstr, których tylko pnie suche w téj saméj linii pod oknami stérczały. Na ganku stary mops posiwiały na usługach domu, siedział poważnie i patrzał w lipową aleę. Koło stajen, przy wyciągniętéj staréj karecie, pracowało kilku ludzi. Przed oficyną prano bieliznę, a pod kuchnią rozmawiało kilku ludzi dworskich. — Cicho było i poważnie w około tego domu, którego staroświecka fizyognomia i stare otaczające go drzewa, dowodziły w mieszkańcach spokojnego gustu i przywiązania do téj siedziby. Wszystko, co się działo do koła, miało pozór rzeczy zwyczajnych, koniecznych, odbywających się nałogowie. Każdy z ludzi był na swojém miejscu, przy swojém zatrudnieniu, mops nawet używał świeżego powietrza z przekonania o potrzebie i nałogu, nie z żadnéj przypadkowéj fantazyi; była to jego gankowa godzina. Wszedłszy wewnątrz domu, dawała się czuć ta sama spokojność, ten sam odwieczny porządek, każdy przedmiot godził się z drugim jakby z niego wyniknął i z nim razem był stworzony; niebyło nic nowego, nic uderzającego dysharmonij-

nie. W sieniach stare świecące od wycierania ławy i skrzynie, stary zegar z kukawką gdakający bez ustanku, na ścianach zapylone wieńce kilkoletnich dożynek. U drzwi wiodących do sali na lewo, leżała słomianka do otarcia nóg. W oknie śpiewały w klatce kanarki.

W sali znowu ten sam porządek odwieczny. Przez całą jéj długość leżało płótno zabezpieczające starą niegdy woskowaną posadzkę od szwanku. Na niebiesko malowanéj ścianie wisiało zwierciadło w ramach drewnianych z bronzami i dwa portrety mężczyzny w peruce i kobiety z różą w ręku, upudrowanéj i w rogówce. Pod niemi stała kanapa obciągnięta nawleczką i widocznie w niektórych miejscach wysiedziana, przed nią uporządkowane do koła stolika krzesła w pokrowcach także, które tylko od święta zdejmowano. Na kominie był osadzisty zegar niegdyś bronzowany, a dziś do niepoznania czarny, ozdobny w kwiaty, zwierzęta, wiszące medaliony i t. p. Obok niego porcelanowe stały i siedziały pasterek i pasterzy arkadyjskich figurki, skamieniałości, gruszka kamienna, ślimak i kilka konch zamorskich. Ekran stary i wypłowiały zasłaniał kominek, którego strzegły w zupełnym komplecie, mieszek, łopatka, szczypce i kruczek. Przy ścianach stały w największym porządku krzesełka, gdzie niegdzie stolik od roboty, okryty suknem. Okna otaczały firanki haftowane, dość zżółkłe, ale starannie zawieszone. Boczne ściany okrywały sztychy za szkłem, i emblematyczne cyfry z wieńcami, pamiątki imienin, ślubów i dni wesołych. Nikt zwykle w sali niesiedział, byłto pokój od gości i dopiero za nim w gabinecików niemniéj porządnym, przebywała pani domu, zacna wdowa jaśnie wielmożna Dorota z Dylągowskich Szumińska. — Niemłoda to już była osoba, i do młodości już była nawet wszelkie straciła pretensye. Na wygodném krześle rozparta, umieściwszy nogi na stołeczku, w okularach, zacna matrona spoglądając na dwoje piesków u nóg jéj na poduszkach spoczywających, ciągnęła kabałę, z miną tak poważną, tak zajętą, jak gdyby pisała najważniejsze dzieło, albo liczyła odległość ziemi od słońca. Przy niéj leżał sznureczek od związywania kart i futerał od okularów, daléj nieco stał dzwonek staruszek i szklanka wody z cukrem, przykryta spodkiem od filiżanki. W oknie siedziała druga osoba, jéjmość panna Anna, siostrzenica pani Doroty, zajęta pończoszką, a niekiedy spoglądająca ukradkiem w długą lipową aleję. Nic nieprzerywało milczenia, prócz jednostajnego faworytów piesków chrapania, które, jak chód regularny zegaru, odzywało się. — Pani Dorota była już wcale niemłodą; ale przez regularne życie potrafiła się zachować w pozorach średniego wieku. Sucha, wyprostowana, poważna, z oczyma szaremi, z włosem siwym ale pokrytym czapeczką i lokami, całe tak swoje życie ze wszelką przyzwoitością i w największym przepędziła porządku. Z nieboszczykiem mężem w zgodzie i błogosławieństwie bożém przeżywszy lat dwadzieścia kilka, bezdzietna, już lat kilkanaście nosiła czepiec wdowi, i jak prawéj przystało niewieście, pobożna, miłosierna, oszczędna, gdérliwa, kończyła życie kabałą i pieskami. — U pani Doroty najznamienitszą figurą w domu był ten zegar w sieniach, który rozporządzał dniem, i wyrokował, kiedy trzeba było spać, jeść, chodzić, wstawać i t. p. Wszystko działo się według jego rozkazów, słudzy bali go się może więcéj, niż saméj pani; sama jéjmość słuchała go z pokorą, dając pierwsza dobry przykład nieograniczonego posłuszeństwa. Gdyby kiedy staremu zegarowi przyszła była ochota stanąć, cały dom byłby stanął i niewiedział co począć, szczęściem panujący ten starzec, mimo podeszłego wieku, niegroził jeszcze bezkrólewiem, a co rok zegarmistrz z bliskiego miasteczka zaglądał wewnątrz, badając pilnie jego zdrowie.

Panna Anna, siostrzenica pani domu, było to młodziuchne i miłe stworzenie. Miała ledwie lat szesnaście, gdy ją przysposobiła ciotka i osadziła przy sobie. Blondynka, niebiesko-oka, średniego wzrostu, wysmukła i zręczna, chociaż niebyła cudem piękności, tak jednak harmonijnie wszystko w niéj się z sobą godziło i odpowiadało sobie, iż na pierwszy rzut oka każdego musiała ściągnąć uwagę. Na jéj twarzy panował wyraz nieprzebranéj słodyczy, śmiały się usta, uśmiechały oczy, ale nie tym szyderskim uśmiechem zalotnictwa lub szyderstwa, lecz łagodnością chrześciańską. Zdawało się patrząc na nię, że się nigdy gniewać niemogła, nigdy zniecierpliwić, wyglądała jak anioł przebaczenia i cierpliwości. To też pani Dorota bardzo kochała siostrzenicę i głośno się z tém odzywała, że jéj wszystko zapisze, co miała z siebie i z zapisów nieboszczyka męża. Niemało to młodzież okoliczną nęciło, ale na nieszczęście, panna Anna nieśmiała za nikim się odezwać, a ciotka nikogo jeszcze godnym jéj nieosądziła. Czy spieszno było młodéj dziewczynie wyjść za mąż? tego niewiem; to pewna, że czasem spoglądała niespokojnie w okno, zamyślała się nad robotą, szukała rozrywki pielęgnując kwiatki, niesypiała w nocy i modliła się gorąco; jednakże, gdy zalotnicy przyjeżdżali, przyjmowała ich tak zimno, poważnie, obojętnie, że każdy z nich odjeżdżał zrażony. Ciotka też ze wszelką przyzwoitością, i wedle

wszystkich reguł przyjmowała ich, i żadnego jeszcze niedopuściła do oświadczenia się. Większa część młodych sąsiadów, już nawet znudziwszy się porzuciła była pannę Annę, uważając ją za niezdobytą fortecę.

Tak się miały rzeczy w chwili, kiedy się ta historya zaczyna. Wybiła czwarta na zegarze w sieniach, skrzypły drzwi od sali, dał się słyszeć chód powolny, i łysy, siwy, wysoki, chudy Jan, stary sługa domu, w szaraczkowéj kurtce, palonych bótach, z chustką od nosa i tabakierką wyglądającą z kieszeni, wszedł, jak zwykł był wchodzić od lat dwudziestu, z tacą, na któréj była kawa i sucharki. Postawiwszy ją na stoliku przed panią, cofnął się ku drzwiom i stanął pod progiem, zażywając tabakę. W téj chwili pani Dorota związała sznurkiem karty, zdjęła z nosa i schowała w futerał okulary, przysunęła tacę i zaczęła nalewać kawę. Pieski przywykłe zbudziły się słysząc dźwięk garnuszka i filiżanki, a Jan założywszy w tył ręce, stał w milczeniu. — »Chłodno na dworze, Janie?« zapytała pani, bo zwykła go była pytać zawsze o toż samo od lat dwudziestu. — »Chłodno pani, ale pogodnie.« — »A co się tam dzieje z kanarkami?« — »Zdrowe pani, tylko się troszkę samce poczubiły.« — »Aniela nigdy dobrze niedopilnuje śmietanki.« — Jan zamilkł, bo nieśmiał ani wymawiać ukochanéj Anieli, ani sprzeciwiać się pani. — »Panno Anno, rozléj pieskom śmietankę.« — Posłuszna porzuciła robotę i poszła pieskom służyć, w czém Jan pospieszył jéj dopomódz. W nagrodę dostała panna Anna sucharek, który, pocałowawszy ciotkę w rękę, położyła na oknie. Następnie Jan zabrał tacę i mierzonym krokiem wyszedł, zamykając pilnie drzwi za sobą. Tu zaszła zmiana dekoracyi. Pani Dorota kazawszy sobie podać książkę od nabożeństwa, wzięła się do pacierzy, a panna Anna wyszła do sali bawić pieski ciocine. — Jeszcze zegar nieuderzył był pół do piątéj, gdy w ulicy lipowéj ukazał się powóz, prosto dążący do dworu. Postrzegła go panna Anna i pobiegła uwiadomić ciotkę. Natychmiast pani Dorota wyszła do sali i usiadła za stolikiem, a siostrzenicę wyprawiła, aby przygotowano herbatę. Tymczasem coraz się zbliżał powóz, stuknął o próg we wrotach i z turkotem zajechał przed ganek. Pani Dorota podniosła się nieco dla zobaczenia kto przyjechał, ale rozpoznać niemogła. — W sieniach dały się słyszeć głosy, krząkania, szeptania, wreszcie zakręcono klamką, i otyły, rumiany pan sędzia Buczkowski wszedł ze wszelką przyzwoitością i uszanowaniem, cisnąc się do ucałowania ręki gospodyni, która na widok jego powstała i niby się uśmiechnęła. Za nim szedł młody człowiek (i to niemało zmieszało panią Dorotę) bardzo świeżo i przyzwoicie ubrany, mogący mieć lat około trzydziestu, rumiany, wesołéj twarzy, oczu błyszczących, ledwie poczynający odrobinę łysieć, zbudowany jak Bóg przykazał, przytém ciemno-blondyn. Ubranie jego okazywało człowieka dobrego towarzystwa i wcale niewieśniaka; toż potwierdzał lekki trochę szyderski ust uśmiech i jakaś mina, po któréj łatwo poznać nadpsutego swobodą kawalerskiego życia człowieka. Pan sędzia otyły i dawniéj zalotny, a miły człowiek (taka była o nim przynajmniéj tradycya w sąsiedztwie) z rewerencyą przystąpiwszy do ręki pani Doroty, przedstawił jéj młodego człowieka, jako swojego krewnego, pana Mateusza Wideckiego, niedawno osiadłego w tych stronach, który spieszył ze złożeniem swego uszanowania pani podkomorzynéj dobrodziéjce. — Naszastawszy mocno nogami na znak uszanowania przybyli, usiedli na wskazanych krzesełkach i uroczyste rozpoczęło się milczenie. Pani Dorota szukała w głowie, od czego zwykła była rozmowę z przybywającymi zaczynać, pan sędzia patrzał po ścianach i uderzał palcami po kolanie, pan Mateusz oglądał się z miną człowieka, który bada ducha domu. Gdy wszyscy milczą jeszcze, przez drzwi od bocznego pokoju weszła z rumieńcem na twarzy panna Anna, goście powstali, ukłony, przywitanie i znown milczenie. Pan Mateusz tylko poglądał już nie po ścianach, ale najpilniéj, jak być może, wlepił oczy w pannę Annę.

Gdy się to dzieje, pani Dorota odkrząknęła i zaczęła rozmowę. — »Pan sędzia już zapewne ukończył siejbę?« — »O! nie jeszcze,« odpowiedział zapytany, »jeszcze mam kilkadziesiąt korcy żyta do posiania.« — »A jakże tegoroczne wydaje?« — »Ledwie po korcu kopa, bardzo źle, będzie drożyzna. Żydzi już się zaczynają dowiadywać o żyto. Pani dobrodziéjka ma podobno kilkoletnie?« — »Tak jest, z trzech lat.« — Tu uznał potrzebném wtrącić się w rozmowę pan Mateusz. »Jest to bardzo dobra rachuba, rzekł, nieprzedawać w tanie czasy.« — »Oczywiście!« — »Oczywiście!« dodali pani podkomorzyna i pan sędzia. Poczém znowu nastąpiło milczenie. — Jan przebrany w surdut nowiuteńki, w którym wyglądał jak w worku, wniósł talerz jabłek, następnie podano herbatę. Rozmowa zwolna i z wszelką przyzwoitością toczyła się, jak to pospolicie na wsi bywa, o gospodarstwie, o cenach zboża i t. p. Pani Dorota, zawsze w każdym młodym człowieku domyślająca się konkurenta do p. Anny, ze wszelką przyzwoitością z pod oka mierzyła pana Mateusza i w duchu osądziła go bardzo

przyzwoitym człowiekiem. Lecz dziwne wrażenie zrobił on na Annie, ona co przywykła była z jednaką obojętnością spoglądać na wszystkich, kiedy weszła do pokoju i spojrzała na niego, uczuła jakiś dreszcz przechodzący po ciele i drzeć poczęła, sama niewiedząc czego. Serce jéj biło gwałtownie, nieśmiała spojrzeć, obrócić się, ruszyć, bała się ust otworzyć. Kto inny byłby to wziął za przeczucie, lecz ona nawet się nad tém niezastanowiła, co to było; tak bowiem przejęta była posłuszeństwem, że nieczuła w sobie woli, nieprzypuszczała przeczucia; w prostocie ducha zdawało jéj się, że ciotka powinna była czuć i myśleć za nią, że to do niéj wcale nienależało. Znając przytém panią Dorotę, wiedziała, że jéj niewolno mieć swojéj woli i myśli; bo jak zegar kierował całym domem, tak wola pani rządziła wszystkiém, co ją otaczało, aż do najdrobniejszych czynności. Przytłumiła więc bicie swego serca, niespokojność, i usiłując zapomnieć o gościu, który ją takiego strachu nabawił, wzięła się do robienia herbaty. W tém, gdy ją zalewa starannie, słyszy, że ktoś wstaje, idzie, zbliża się i w końcu ujrzała młodego gościa przy sobie. Zupełnie już wtedy niewiedziała co począć, w uszach jéj zaszumiało, w głowie się przewracało, w oczach ćmiło; a ciotka z niesłychaném także zdumieniem i nieukontentowaniem spojrzała na kawalera, który tak nieprzyzwoicie, przy pierwszéj bytności, ośmielał się zbliżyć do panny Anny. Nic tego nie zważał pan Mateusz i śmiało ofiarował swoję pomoc Annie do robienia herbaty. Zaledwie biedna zebrała się na niewyraźną odpowiedź: »Bardzo dziękuję, ja tak jestem przywykła.« — Uparty gość nic na to nie zważając, koniecznie obstawał przy zaczęciu rozmowy z Anną. — »Pani zapewne lubi kwiaty?« — »Tak, tak jest,« niewyraźnie odpowiedziała. — »Musi tu być piękny ogród.« — „Tak, piękny ogród.« — Znowu się urwało, biedna Anna rzucała okiem na ciotkę, któréj szare oko wytrzeszczone i usta zaciśnięte, grozić jéj się zdawały i bronić nieprzyzwoitéj z kawalerem rozmowy. Nareszcie po kilku próbach, przekonawszy się pan Mateusz, że z tego nic niebędzie, usiadł i zamilkł. — Podano herbatę; pan sędzia głośno gadał, panna Anna siadła z daleka pomieszana, pan Mateusz już znowu po ścianach tylko patrzał, ciotka okazywała najfatalniejszy humor. Gdy Jan wyniósł tacę, goście zaczęli spoglądać na zegarki, powoli wdziali rękawiczki, pożegnali się i odjechali.

Zaledwie zahuczało, pani Dorota ruszając ramionami powstała z kanapy, rozkazała stoły pościerać, pozwoływała rozpierzchnione pieski i odezwała się: »Ależ to jakiś jegomość impertynent! Tak zaraz obcesowo sobie do panienki się przysiada. Bardzoś wpanna dobrze uczyniła, żeś mu nieodpowiadała.« — »Ja ciociu odpowiadałam!« rzekła Anna. — »A to bardzo źle, to nieprzyzwoicie, trzeba było udawać, że się niesłyszy. Któż to widział kiedy, z pierwszą wizytą i zaraz do panny w konwersacye! Proszę, żebyś mi wpanna drugi raz to pamiętała, udawać, że się niesłyszy. To wcale nieuchodzi, żeby młoda panienka gadała z kawalerami. Powiedz aspanna niech Jan tu pościera; podaj mi mój różaniec. Idź precz Amor! idź precz! Jaki impertynent! Ale, bo i ten sędzia, po co go tu było przywozić! Na poduszkę Żolka, na poduszkę! W imie Ojca i Syna i — Idź aspanna do ogrodu, a okryj się ciepło, niechaj Aniela przyjdzie z pończochą do przedpokoju! W imie Ojca i — A niepójdziesz precz z krzesła! — Weź aspanna chustkę od nosa i trzewiki ciepłe! A która tam godzina? — po szóstéj. — Późno! — Dajże aspanna pokój, już niechódź do ogrodu, bo rosa pada!«

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Domy i zatrudnienia Polaków w XV. i XVI. wieku.

Zabawa z gościem w domu i za domem.

(Ciąg dalszy.)

b) Śpiewy, bardowie polscy.

Przebiegali nasz kraj polscy i zakarpaccy, a szczególniéj serbscy śpiewacy, na skrzypliwych skrzypicach i na koźle historyczne zdarzenia wygrywając i wyśpiewując, lubieni w chacie rólnika i w domach możnych. Serbowie żałośni, bo wtedy ich ojczyzna jęczała pod tureckim jarzmem, byli też mile słuchani od naszego rycerstwa. Z pochyloną głową ciągnął śpiewak długi smyczek po skrzypcach swoich, i grając nucił starodubskie dumy, jak przed laty Polacy i mężne Chorwaty Turków bili. Surmaczy tych przeraźliwych najmilej słuchali kozacy, którym oni wygrywali psalmy wojenne. — Z natężoném słuchali ich uchem, dopóki im sen omdlałych trunkiem nie zaczął zamykać oczów [1]).

[1]) Światowa roskosz *(muzyka)*.

c) Tańce.

Skoro to spostrzegł gospodarz, chcąc zabierających się do drzymki ocucić, donośnym zawołał głosem: «zagrajcie skoczne regały!» i począł śpiewać 1):

Wina, panien a muzyki,
Kto chce melancholiki,
Rozweselić, to troje
Wybiją ze łba roje.

Więc komu udy grają,
Niech mu w dudy zagrają.
W takt poskoczyć nie wadzi,
Którzy tańcują radzi.

Frasunki suszą kości,
Trzeba zalać wnętrzności.
A młodzieńcy z pannami,
Niech się bawią żartami.

Komu kolnierz nie stoi,
Niech tych żartów nie stroi.
W strojnych się dziś kochają,
Panny i strojnym dają
Chusteczki wyszywane,
Pierścioneczki składane.

Nuże dzieci na to tę,
Ty Zosię, ja Dorotę,
Porwij w taniec, regały
Będą nam skocznie grały.

Starzy poszli do tańca pieszego, to jest do polskiego, czyli do poloneza, jak go dziś zowiemy [2]) młodzi wywijali już to pląsając, już rękami klaszcząc, a dla wygody i wdzięku chłodny wietrzyk robiąc sobie magierką [3]). Pląsając tańczyli albo skocznego, albo gonionego. Jeden i drugi rodzaj tańca był rozmaity, jako to: cenar, świeczkowy, gniewus, lipka, dorobuszka, taniec Macieja i Konrata, hajduk, wyrwaniec, sejduk. To były narodowe tańce. Z obcych zaś najwięcéj lubione były te: padwan, galarda, pasamez, kapreola, bergamaszka.

Gniewus, dorobuszka, hajduk i wyrwaniec snadź były ruskie tańce [4]), tak nazwane od różnych poruszeń ciała tańcujących. Tancerz uderzywszy po rusku czołem przed tancerką, kształtnie się wywijał, już to posuwając się ku niéj i goniąc ją, już to mijając ją i niby gniewając się na nią (goniony, gniewus). Młodzież szczególniéj lubiła te tańce. Hajduk był taniec skoczny, ulubiony żołdakom. Wyrwaniec, jak wyraźnie podano, przystojny był do włoskich fachów. Ująwszy się z bliska tancerz z tancerką, wodzili się niby za nosy, bo tak blisko siebie byli, że zdawali się spowiadać sobie w tańcu popełnionych grzechów, a mianowicie kto taktu chybił i ile razy. Zdawało się oraz, że tańczący naznaczyli sobie karę, i za pokutę tańcują do upadłego, co raz prędzéj i prędzéj obracając się wkoło, a po téj ciężkiéj pracy i niejako oczyszczeniu się z grzechów, młynkiem kończyły pary swój taniec, niby do nieba spiesząc po odprawionéj pokucie. Któż w tym tańcu nie widzi skocznego Krakowiaka, kończącego się zwykle tak zwanym obertasem? Nie raz dobrana młodzież wesołego otoczywszy tancerza, jedni ze szklenicą, drudzy ze świecą tańczyli około niego świeczkowego, zręcznie okazując sztuki, a do tego nigdy nie chybiając taktu [5]). Tymczasem drudzy, rolę przybrawszy doktorów, ściskali rączęta tancerek aż spotniały (były lipkie), niby pulsu u nich dochodząc dobrze li bije. Padwan i galarda włoskie były tańce. Tamtego tańcząc, oraz i śpiewać należało, przy tém potrzeba było podrygać [6]). Wytłómaczyć nie umiem, co znaczyły tańce senar i sejduk; o drugim tyle wiadomo, że był ruskim, i że tańcując go na tę i na ową stronę, w różne kształty dziwnie łamał się tanecznik [7]). I pasamez, tudzież kapreola i bergamaszka włoskie były tańce; o dwóch ostatnich wspomniał p. Gołębiowski [8]).

[1]) Przy końcu broszury *Co nowego*, przez Trztyprztyckiego wydanéj. [2]) Miaskowski u Gołębiowskiego, gry i zabawy, str. 315. [3]) Zbylitowski w przyganie. [4]) To jest Rusi przeddnieprskiéj, bo Ruś zadnieprska nietańczyła. Pamiętniki Maskiewicza str. 39. [5]) Gołębiowski, gry i zabawy, str. 317. [6]) Bielski, sejm. 6. 19. 20. Zbylitowski, schadzka. Sornatowic, epitalamium, światowa roskosz, *saltarella*. [7]) Gołębiowski, gry i zabawy, str. 316. [8]) Tamże, str. 317.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Portret jenerała Wasyngtona. Heath, sławny rytownik angielski, z wielką pracą ukończył piękny obraz Wasyngtona, który chciał wydać na prenumeratę, ale podpisy wynosiły tylko 70 gwineów. Pewien księgarz, przed którym się użalał na tak szczupłą przedpłatę, ofiarował mu 100 gwineów. Heath nieprzyjął téj nędznéj nagrody i sam zajął się odbiciem swéj płyty miedzianéj. Zdarzyło się, iż tego samego wieczora nadeszła wiadomość z Ameryki o zgonie Wasyngtona, i ten przypadek zmienił rzecz całą. Odcisków niemożna było dosyć dostarczyć, oblegano dom Heatha w całém znaczeniu wyrazu, tak natrętnie domagano się jego ryciny. Pewien amerykański spekulant wziął sam dwa tysiące odcisków i zapłacił za nie 200 gwineów (12,000 talarów). Sztukmistrz zarobił za odciski obrazu Wasyngtona w ogóle 40,000 talarów.

Zakorkowana butelka. Nad wschodnim brzegiem portu w Dunkierce wydobyli z wody celnicy zapieczętowaną butelkę, w któréj znajdowała się następująca kartka: »15. Kwietnia 1840. r. wy-

trzymaliśmy na okręcie naszym „dwie siostry", pod stopniem 45 szerokości i 32 stopn. długości okropną burzę. Opatrzeni w najobfitszy ładunek ryb, niemamy nadziei uratować okrętu, który już od 3ch dni przecieka, a pompy pozamarzały. Oby Bóg zmiłował się nad nami! Noc następuje. Czyliż obaczymy jutrzejsze słońce? Pisałem w chwili największego niebezpieczeństwa. Jan Klaudyusz Pichon, sternik.« — Niezawodnie okręt zatonął, bo żadnych o nim niemasz wiadomości.

Meierbeer ukończył nową operę i odstąpił ją wielkiéj operze w Paryżu. Jest napisana pod tytułem »Anabaptyści« i sam kompozytor uważa ją za najlepszy swój utwór.

Mody. — Paryż, dnia 26. Sierpnia 1840. — Otóż dalszy ciąg przerwanego listu o zespoleniu kolorów w ubiorach. Tego lata noszono wiele tkanin niebieskich i różowych i łączono je umyślnie ze sobą. To połączenie obudwóch kolorów jest brzydkie i nigdy się nie utrzyma, bo nie oparte na naturze. Pojrzéj po ogrodach, a ujrzysz białe i zielone, zielone i czerwone, białe i różowe, białe i niebieskie i t. d., a nigdy kwiecie razem niebieskie i różowe.

Lubię kolor brunatno-szary, zbliża się do koloru włosów i do nich się stósuje, opiera się też na naturze, która właśnie najliczniéj otoczyła tym kolorem twarze ludzkie, nadając im cień miły i odpowiedni ciału.

I kolor czarny ma wiele za sobą. Dama ubrana w suknię z czarnego atłasu, lub aksamitu, ślicznie wygląda. Toż samo prawie powiedzieć można i o białym kolorze. Jeżeli płeć twarzy jest dosyć biała i może być z białą suknią zespolona, natenczas nabiera większéj wydatności.

Kolory, które najwięcéj zbliżają się do tych ostateczności, to jest bardzo ciemne i bardzo jasne, daleko lepiéj zdobią, aniżeli tkaniny w średnich kolorach, które ani bogactwa pierwszych, ani miléj świetności drugich nie mają.

Nie tylko na ubiory, ale i na obicia w pokojach i zasłony u okien zważać potrzeba. Bo światło wpadając przez zasłony okien do pokoju, nadaje twarzy to cerę świeżą, to chorowitą, według koloru zasłony między nią a światłem zawieszonéj.

Między nowościami widziałem szarfy z białego damaskowanego fulardu, ozdobione kręconą fręzlą długą; szale z białego poux de soie z fręzlą i mantyle z białéj lewantyny, osadzone koronką.

Pani B. miała na sobie lewitkę organtynową, haftowaną w niebieskie cienie, pod nią szlafroczek z paille gros de naples; lewitka była na okół podwójną falbaną w zęby osadzona; przytém pojedyńczy kapelusz krepowy mały, zdobny około główki blondyną angielską w trójnasób.

Nowym jest strojem kołnierz beguineński. Wystawić sobie trzeba kołnierzyki małe czworograniaste w okrąg wywinięte, które szyję garnirują i jéj nie ścieśniają, ozdobione cieńkim haftem i delikatnemi koronkami. Z przodu u stanika pewien rodzaj klap z guzikami, tak iż piersi okrywają na wzór sukien zakonniczych, i ztąd to zapewne wywodzi ten rodzaj kołnierzyków swe miano.

Czepeczki muślinowe są bardzo modne, piękne, ale bardzo drogie. Denko całkiem jest zahaftowane w najdelikatniejsze wzory, a powinno być najpiękniejszemi koronkami otoczone, jeżeli nie ma czepek wyglądać za nocny.

Ujrzeliśmy też wiele szlafroczków jednokolorowych z czarnego kaszemiru, z obcisłym stanikiem i takiemiż rękawami. U stanika, a często też na powłoce z przodu duże jedwabne lub haftowane guziki w trzy rzędy.

W ubiorach męzkich żadna zmiana nie zaszła. Surduty, jak dawniéj, krótkie, na jeden rząd guzików, z wązkim kołnierzem i klapami miernie szerokiemi. Fraki z połami u dołu szerokiemi, bez kieszeni na biodrach. Pantalony bez strzemiążek.

Objaśnienie ryciny.

1) Suknie jedwabne z falbanami w zęby. Canezou z muślinu. Rękawy krótkie w bufki i paski. Za przepaskę wstążka szeroka jedwabna o długich końcach, koloru sukni.
2) Kapelusz z ryżowéj słomy, ozdobiony różami i winogronem. Suknie jedwabne z kilkoma falbanami, oszytemi wązką koronką szmuklerską.
3) Gładkie ustrojenie głowy. Suknia z haftowanéj organtyny z stanikiem bluzowym i krótkiemi rękawami w bufki. Długie rękawiczki siatkowe, bez palcy.
4) Kapelusz słomkowy z słaniającém się piórem. Suknia organtynowa z falbanami. Stanik koszulkowy i wązkie rękawy, osadzone po łokieć małemi falbanami.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc. 35.